

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 116.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 1/2.

Warszawa, 14 grudnia 1861 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Teofil Lenartowicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Żebracy ukraińscy (drzeworyt). — Kościół św. Jura we Lwowie (z drzeworytem). — Kalwarya Zmujdska (z drzeworytem). — Wycieczka do Gdańska przez Deotymę (dokończenie). — Kościół w Staromieściu (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

OD REDAKCYI.

Z dniem 1 stycznia 1862 roku kończymy tom IV naszego pisma, a zaczynamy tom V.

Zaraz po ukończeniu *Wycieczki do Gdańska* Deotymy, rozpoczniemy artykuł treści historycznej, który także w roku bieżącym zostanie ukończony. Zamiast zapowiedzianej w przeszłym kwartale dwutomowej powieści (której druk wstrzymujemy), mamy już zamówionych kilka innych prac beletrystycznych, i te kolejno ogłaszać zamierzamy. Podobnie przygotowane są do druku: dwie podróże po Słowiańszczyźnie tureckiej i austriackiej; podanie o czarnoksiężniku Twardowskim; zbiór starożytnych kostiumów polskich, od czasów najdawniejszych i seria obrazów krakowskich i tatrzańskich, — wszystko to z odpowiedniami drzeworytami.

Cena Tygodnika pozostaje taż sama, to jest w Warszawie:

rocznie	rsr. 8 k. —
półrocznie	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 2 „ —
miesięcznie	„ — „ 67 1/2

Na prowincyi i w cesarstwie:

rocznie	rsr. 12
półrocznie	„ 6
kwartalnie	„ 3

Komplety Tygodnika, obejmujące 9 kwartałów w trzech tomach, mogą być nabywane w redakcyi po cenie: tom I (jako złożony z trzech kwartałów) rs. 6, tomy następne po rs. 4.

Teofil Lenartowicz.

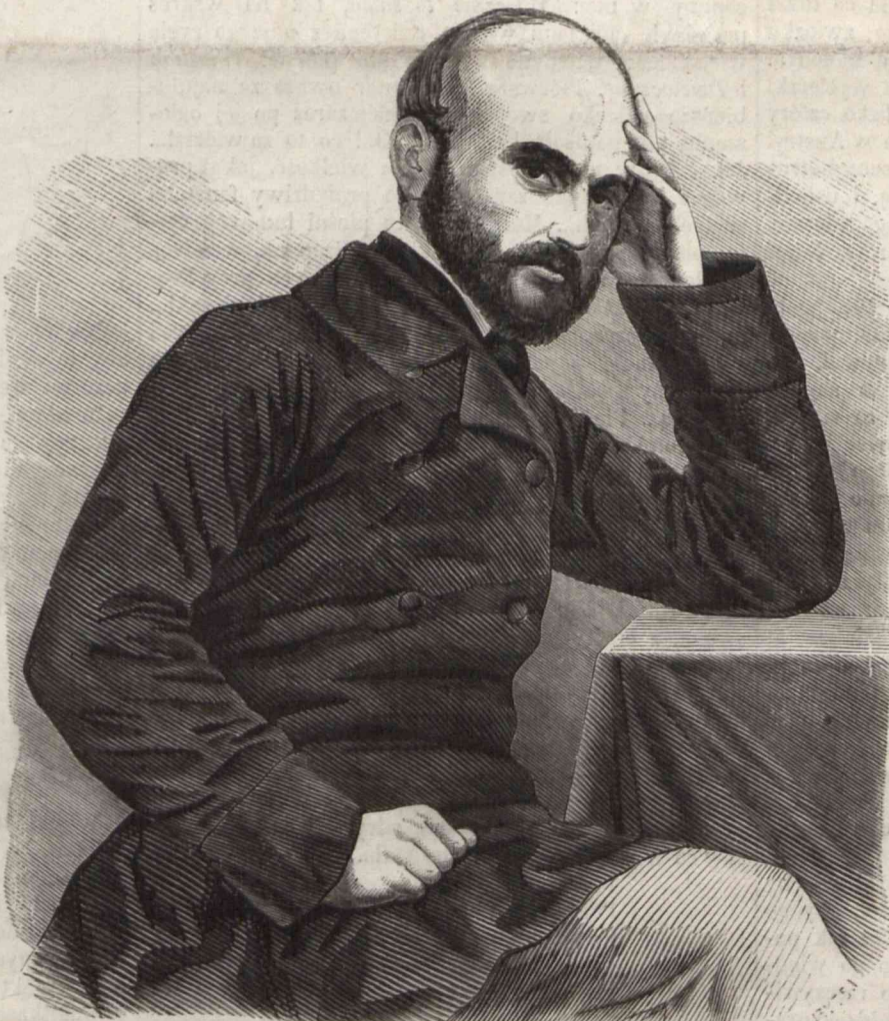
Niesie zapach polskiej sosny,
Swieżość ojczyńskiego chleba,
I z pod pierśi coś załosnej,
I coś z wiosny, i coś z nieba.

Z *Lienki*.

W pierwszej ćwierci bieżącego wieku Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), żarliwie zbierając pieśni ludu, podania, przysłowia i inne zabytki

dzili rękopisami i rzadkie druki, i to z takim zapałem, że odkrycie jakiej zapomnianej książki, lub wynalezienie jakiej pieśni, uważane było za wielką zasługę, prawie za tytuł do nieśmiertelności. Żarliwi obeszli wzdłuż i wszerz nie tylko nasz kraj, lecz i pobratymcze ludy słowiańskie, zapuścili się aż za Dniepr i Dunaj, łowiąc wszystkie echa, w których słychać było przeszłość naszą. Musiało coś tajemniczego, brzemien-

nego następstwa leżeć w tej robocie, gdy była tak skrzętną, powszechną. W istocie, skutkiem tych usilnych i wytrwałych poszukiwań, zgromadzono wiele szacownych szczątków i pamiątek po przodkach, ale co ważniejsza, po raz pierwszy podniesiono nieznaną dotąd skarbnicę naszego ducha, rodzimych, własnych. Część z tego skarbu naród już zużytkował w złotym wieku zygmunto-wskim; część w długim szeregu lat, wśród wpływów obcych, starła się z czoła narodu; reszta, zeszkliwszy się w najniższej jego warstwie, ludzie wiejskim, zachowała się niezmienną. Kiedy umysł polski otrząsnął się z cywilizacji scholastycznej, już nie mającej treści, i z francuskiej pseudoklasyki, także niewystarczającej, i zapragnął iść o własnych siłach, sięgnął aż do głębi i ogarnął cały swój zasób duchowy. Przez to do skarbcza uczuć i myśli wyrobionych przez świat szlachecki, przybył świeży, jakby chowany w zapasie, zasilek ludowy. Niegdyś był on wspólnym celemu narodowi, dopóki szlachta, daleka od obcych wpływów, żyła obok kmieci w swoich modrzewiowych dworach; teraz, na nowo podniesiony, miał się znów stać wspólnym i posłużyć do zbliżenia obudwóch warstw społeczności naszej. W starym skarbcie było wiele drogiego kruszcu, lecz aby się na nim poznał świat nowy, potrzeba było pierwój stopić go i twórczo przelać w nowe, żywe kształty. W tym celu jeden z najgorliwszych zbieraczy dawnych pamiątek objaśnił wiele przysłów, ze starych powieści ułożył klechdy, a z czasem, na podstawie tych zabytków języka, miał wprowadzić do nauki cały okres literatury pierwotnej, rodzimój, jaką naturalnie po-



TEOFIL LENARTOWICZ. (Bysował z fotografii Polkowskiej).

naszej przeszłości, odkrył nowy świat ludowy i dał popęd do szczególnego a bardzo ożywionego ruchu w literaturze, która ten świat nieznaną starała się rozjaśnić. Za przykładem Chodakowskiego, miłośnicy rzeczy swojskich zbierali dalej pieśni ludu, dawne podania i przysłowia; rozkopywali stare mogiły, poszukując broni, ozdób i sprzętów dawnych, groma-

siadaliśmy przed przyjściem do nas chrześcijaństwa i łaciny. *Przysłowia narodowe i Klechdy starożytne*, a potem *Gawędy*, przyjęto mile; ale były to dopiero zarysy z domowego życia przodków naszych. Najgłówniejszą część pieśni, w których, chociaż na różną nutę w świątyni, w chacie, w obozie, ale oddźwięczyło życie całego narodu, zostawiono prawie nie-

tkniętą, podano dopiero jako materyał. Jaką przędzę snuć z tego materyału, pokazał Teofil Lenartowicz, chociaż trąca w najskromniejszą, najcichszą strunę wielkiej arfy narodowej,

W ową najlichszą, nad której skronią
Wciąż się pierzchliwe jaskółki gonia,
Co w dudkę złotą nieśmiało dnie,
A głos po liściach rozlega się,
I w przepogodne, ciche zaranie,
Budzi po świecie śpiące kochanie.
Ta wierna prządka na naszej grzędzie,
Ważnych na kolce nici naprzędzie.

Nowa Lirenka 175.

Urodzony w Warszawie d. 27 lutego 1822 r., przy ulicy Garbarskiej, pod Nrem 2612, wychowywał się na wsi na Mazowszu (Nowa Lirenka na str. 139 w przypisku). Naucę niewiele czasu mógł poświęcić, bo ten czas trzeba było oddać za kęs bardzo powszechnego chleba. Już od października 1835, a więc w czternastym roku życia, zaciągnął się do kancelarii adwokata Leona B., a w półtora roku potem na aplikację do b. sądu najwyższej instancji, gdzie dopiero po trzech latach doczekał się etatowej posady kancelisty. Po utworzeniu senatu warszawskiego, mianowany d. 30 października 1842 r. kancelistą dziesiątego departamentu, z placą 1800 złp., która była już najwyższym jego uposażeniem biurowym; bo chociaż na początku r. 1848 został pomocnikiem referenta wydziału cywilnego w komisji rządowej sprawiedliwości i zapewne już byłby się posuwał na wyższe stopnie w hierarchii sądowno-administracyjnej, ale serce pociągnęło go do innego zawodu, w którym trwalsze czekały go wieńce.

Oddawna, obok zajęć obowiązkowych, własną pracą dopełniał szczerze zakres wiadomości, jakie dała mu szkoła obwodowa. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności obok, w archiwum senatu, pracował autor Klechd starożytnych, który poznawszy w Lenartowiczu szczerą chęć kształcenia się, dał mu pieśni ludu, dzieła Jana Kochanowskiego i jeszcze starszy od tego, głęboki źródło—Biblię. Lenartowicz pił niemi swoją duszę, kąpał serce i wprawiał myśl do lotu. Widziane w dzieciństwie obrazy wiejskie, ożywały mu teraz z nowym urokiem. W szumie sosen, plusku fal, brzęku sierpów, szczęku kos, w echu dalekiej ligawki, dzwonku z kościółka, głosie dziewczęcia co drżał w wietrze... dosłuchiwał się tajemniczego związku i różne te dźwięki łączył w jedną wiejską melodię. Aby ją wygrać, przyszli lirnik ludu robił wycieczki na wieś, nawet w lecie r. 1843 przez blisko cztery miesiące podróżował po ziemiach polskich w Austrii i Pruszech. Po takim przygotowaniu się, zaczął strugać sobie swojską skrzypkę z deką lipową, i usiadłszy u krynicy, u kaliny, grywał sobie długo żałośnie, i śpiewał sobie: dana oj dana! a głos po rosie leciał co rana...

Nuta cicha, skromna, choć jeszcze niepełna, brała za serca nie tylko towarzyszy Lenartowicza, współpracowników Nadwiślanina, do którego pisywał, ale i wyższe towarzystwo warszawskie. Nudząc się już konwersacją francuską, ubiegało się ono za szarym skowronkiem z pod zielonej miedzy mazowieckiej, jakoby przeczuwając przyszłą donośność jego pieśni. Razem z Lenartowiczem, prawie nieodstępnie ukazywał się Ignacy Komorowski. Obadwaj razem mieszkali, dopełniając się wzajem: jeden był pieśniarzem, drugi melodię tej pieśni, obadwaj bardzo sympatycznie witali. Poznałem ich na początku 1848 r., na wieczorze umyślnie zebranych, aby usłyszeć grę dziewięcioletniego Henryka Wiśniawskiego. Po skończonej grze obiecanej i obspaniu oklaskami zadziwiającego dziecka, gdy większa część towarzystwa oddaliła się, Komorowski śpiewał swoją Kalinę (wiersz Lenartowicza). Był wtedy jeszcze bardzo młodym, ze świeżym rumieńcem na skroniach i tęsknotą u czoła. Potem Lenartowicz mówił swoje wiersze. Mówił cicho, nieśmiało, jakby się lękał tę prostą, wiejską opowieść puszczać między pany. Ale właśnie ten głos cichy nadzwyczaj się nadawał do formy i treści; aby go słyszeć, kółko słuchaczy się ścieśniało, że tak powiem brało go w swoje objęcia, oplatało go wieńcem swoich rąk, co w końcu następowało rzeczywistość. On sam zdał mi się niższym niż go widzieć pragnąłem, ale jego opowieść, jakieś nowe, świeże życie w tej opowieści, miało urok pociągający. Raz słyszałem jak po wierszach z rodzimą treścią, mówił obszerniejszy swój utwór, Szekspira. Wielki dramaturg za sceną przysłuchuje się w międzyaktach co o nim i o sztuce mówią jego koledzy-aktorzy i zebrana na przedstawienie publiczność. Zdania, opinie i ton ich wypowiedzenia zdały mi się nieporównane, uderzające. W rok potem czytałem je drukowane, i nie zna-

lazłem prawie nic z tego uroku. I czemu to przypisać? Czy cichy głos autora tak przejmująco zakradał się do duszy, że nastrojała się do równi jego pomysłów, a potem w odmiennych okolicznościach już do nich klucz straciła? W tej chwili nie mam sposobności sprawdzić wrażenia.

W późniejszym czasie Lenartowicz, oddalony od rodzinnej strzechy, tęskniąc za nią, jeszcze głębiej uczuł jej zalety. Dopóki się ich używa, prawie się nie cenia; ale kiedy je stracisz, to, jak po zdrowiu, wstaje po nich żal w sercu i tak je uprzytomnia, ożywia i upiększa, że dopiero wtedy cały ich urok postrzegasz. Opadają chmurki drobniawych niesnasek, i widzi się tylko jasny błękit, a słyszy tylko ogólniejsze, czystsze dźwięki. Z takich dźwięków układał Lenartowicz swoją Lirenkę, a potem swoje najcenniejsze dwa poematy religijne, Zachwycenie i Błogosławioną. Kiedy ukazały się te książeczki, przyjęto je z zapalem. Sprawozdawcy dziennikowi poczytali osobliwie Zachwycenie i Błogosławioną za „arcydzieła poetycznej literatury naszej i nienaszkiej nawet, bo w nich jest ta biała korona sztuki, która im łatwiej wygląda w formie, tym trudniejszą jest w istocie.“ Inni, przesyleni messyanicznymi i tytanicznymi płodami ówczesnej literatury naszej, odetchnęli swobodniej, słuchając tego czystego i prostego głosu natury. Nietylko Warszawa, ale i kraj cały czytał je z uwielbieniem. Około 1854—7 roku prawie zapomniano o wszystkich innych poetach, przenosząc nad nich Lenartowicza; sam nawet Mickiewicz, w swojej pomnikowej wielkości, jakby usunął się na stronę, i spokojny o swą przyszłość, słuchał jak Lenartowicza nazywano pierwszym poetą. Dziś, po kilku latach, zdając sobie sprawę i z uniesienia ówczesnego, i z dzieł Lenartowicza, sądzimy że to śpiewak owój Polski piastowej, jeszcze całej, wiejskiej, kmieć, o której ułamkowe wspomnienia przechowały pieśni ludu. Wprowadził on do obywatelstwa w literaturze nowy świat kmiecy. Nic świat ten jeszcze nie działał, nie liczy zasług; ztąd i w pieśni mówi tak cicho, nieśmiało. On tylko wskazuje na ziemię, którą od tyłu wieków użył swoim, na lasy tak zielone, śpiewne i pachnące, na czyste krynice i czystsze od nich serce, co w tęsknej pieśni wypowiada biędy swoje, jakby chciał aby go bliżej poznać i ukochać. Te rzewne dźwięki nuty ludowej, Lenartowicz wygrywa na swojej cichej lecz złotej Lirence. Przechodząc do szczególnych ustępów Lirenki, osobliwie cenimy w niej: *Wiecznie to samo*, tak na wskroś przesiąknięte obrazami wprost wziętymi z naszego życia wiejskiego: dalej naiwne, cudnie piękne: *Wiochnę* i *Dziewczynę*. Pierwszą sam autor uważa za najulubieńsze dziecko swoje; o drugiej zaraz po jej ogłoszeniu tak napisała krytyka: „Oh! co to za wiersz!... Jakaż to w nim prostota i jaka wielkość, jakaż prawda i jaka sztuka zarazem! To prawdziwy fenomen w tych czasach... Muzyczność tu pieśni ludowej, ujęta plastyką Getego, dźwięki tu Szopena, wcielone w słowa. Od czasów „Rojeń wiosnianych przy krosienkach“ naszego Bohdana, nie było takiej piosenki... Ta dziewczyna, co jeszcze bawi u matuli i myśli o kwiatkach, o powoju... jest tylko młodszą siostrą tej panny Bohdana, co mieszka u cioci i chce być ostrożną... Pieśń ta tak skromna jak lilia, tak czysta jak promień gwiazdeczki, tak świeża jak poranek, a tak smutna jak myśl o kraju. Jak słońce w kryształach, tęczyje się w niej radość, jak kropla rosy w kielichu róży, drży w niej smutek...“ Podzielając to zdanie, jeszcze zwracamy uwagę, z pośród wielu przeslicznych wierszy, na *Jagode*, w której naiwna, prosta myśl ludu, jakby zatopiona w niebie i trosce swojej, z otaczających ją ziemskich przedmiotów snuje nadzwyczaj wdzięczne obrazki. Takiego upostaciowania ziemi i ludu naszego, jego zajęć, zwierząt, ptaków i drzew, pomagających lub towarzyszących mu w pracy swoim szmerem, cieniem, owocem nagradzających mu lata ciężkiego trudu, nikt nie dał jeszcze. A od tych codziennie otaczających lud nasz przedmiotów, myśl jego wciąż się odrywa i trąca w troskę co najgłębiej w serce zapada.

Pożegnała siostra brata,
Pożegnała temi słowy:
Kiedy idziesz za kraj świata,
Mój braciszku, bywaj zdrowy!

Jak będziesz za siódmą rzeką,
Jak ci zgluchną wiejskie dzwony,
Albo ja wiem jak daleko,
Obejrzyj się w nasze strony,

Gdzie nad chatą rozwaloną,
Nad kominem, het wysoko,
Takie nieba jasne łono,
Jak nieboszczki matki oko.

Nie oglądaj się na człeka,
Ni na swoich, co już w grobie,
Ale bracie wspomnij sobie,
Że cię nasze niebo czeka.

Rosną wierzby nad wodami,
Nad zieloną pochyłością,
Kto pożegnał się ze łzami,
Ten powita się z radością i t. d.

Ale przy marzeniu, przy śpiewie, jakos praca idzie powoli, a tu trzeba kupić soli, więc nielakoma dziewczyna znowu razno bierze się do zbierania jagódek. Lecz gdy myśl buja daleko...

Próżno zeszedł dzionek cały.
Czyby ptaki wydziobały?
Oj wy ptaki nienasycie,
Widzę ja was, choć ukryte.
Dziwuje się, kręci główką...
Nie pocieszysz się borówką...
Otóż widzisz że nie twoja,
Tylko Boska, potem moja.
Danaż moja, dana, dana,
Jagódeczko, pójdz do dzbana!

Aż znowu śpiew przemógł i z rozteśkniętego serca wylała się następna przesliczna piosenka:

Płyną wody za wodami,
I z gałązek liść oblatą;
Sierotemka za górami
Przewędrowała kraje świata.

A chociaż mu nie zbywało
Ani soli, ani chleba,
Ale wszystko to za mało,
Bo swojego nie miał nieba.

I napisał liścik drobny
Złotocznym piórkiem pawia,
Ale taki niepodobny,
Że co słówko, to zakrwawia.

Niby nic mu nie potrzeba,
Nad wodami, nad cudzemi,
Ale chciałby krzynek nieba
I wietrzyka swojej ziemi.

Wzięła siostra liść kaliny,
Napisała mało wiele,
Tyś braciszek, ty jedyny,
Tyś mi anioł w ludzkim ciebie.

I co przyszło ję do głowy,
Wypisała wszystko na nim;
Teraz wietrze cichym wianiem
Zanieś listek kalinowy...

Nie potrzeba osobliwego tła i podobnego położenia, aby ta serdeczna piosenka obudziła rzewne w sercu uczucia; ale kiedy jeszcze w istocie jest się gdzieś za siódmą rzeką, kiedy zgluchną swojskie dzwony, tym żywsza tęsknota obejmuje serce, wspomnienia własne w pieśni się układają i dopiero może czuje się ile prawdy w słowach poety. W pieśniach Lirenki wszędzie prawdziwie chrześcijańska, anielska cierpliwość uskarża się niewyraźnie, nieśmiało, swą boleścią wypowiada raczej Bogu niż ludziom. Dobrze jeżeli i oni ją rozumieją i ulgę przyniosą. Raz tylko, w wierszu *Mazur*, boleść dochodzi do rozpacz, ale się mężczyźni głuszą nie trunkiem, lecz muzyką, tańcem, wędrówką, a dziewczęta, niezmiernie pięknym, arcyłudowym zwrotem:

A dziewczki się splakały,
Że skrzypki grać przestały.

Wielka troska, ciężki ból pokrywa się błahą wymówką.

Trudno objąć i zrobić wybór z takiej mnogości czystych perełek, któremi usiana Lirenka; trzeba by obszernego studium, aby wykazać wszystkie ziarnka zebranych w niej uczuć naszych. Jest to czysta krynica, w której pożytecznie jest szukać orzeźwienia w smutkach lub nudach serca, kiedy potrzeba w niem ożywić znękanę lub chore uczucia. Jednak to nasze uwielbienie stosujemy tylko do wierszy objętych dawniejszym wydaniem Lirenki, bynajmniej zaś nie do Nowej Lirenki; ta wydaje się nam po większej części bardzo słabą. Z pierwszjej jej części tylko *Do mojego Grajka* i *Jak wygląda kolosseum przypruszone śniegiem*, są piękne; za to w drugiej części *Święta praca*, stanowiąca dopełnienie Błogosławionej, *Czego nam trzeba* i *Trzy siostry* są miłe i pełne myśli.

Zachwycenie i Błogosławiona są poematami, w jakich Lenartowicz pokusił się objaśnić najwyższe zagadnienia człowieka, to jest wystawić przybytki, w których jego dusza ma pędzić dalsze życie po tamtej stronie grobu. Przedmiot niezmiernie trudny; ile go można malować z zasobami ludzkimi, pokazał Dante, a po takim mistrzu zadanie stało się jeszcze trudniejszym. Starożytni poeci malowali swój świat przyszły, ale u nich Elizium było tylko uidealizowaniem ich ziemskiego życia. I Lenartowicz postąpił podobnie, jego świat przyszły jest jakby idealnym obrazem życia polskiego. Lecz to dopiero jakby jego strona zewnętrzna, pogańsko-polska; ale oprócz tej ma on drugą stronę, chrześcijańską, jak ją pojął lud nasz. Aby wyminąć trudności, Lenartowicz swoje obrazy daje jakby nie od siebie, lecz wprowadza wieśniaczkę *zachwyconą* (w letargu), która powstawszy z letargu opowiada swemu małemu dziecku co widziała na tamtym świecie. Rozmowa tych dwóch naiwnych, niewinnych istot, czyta się z wielkim urokiem, i dziwimy się talentowi autora, jak zwycięsko i świetnie umiał wyjść z trudności prawie nie do pokonania. Według opowiadania zachwyconej, jakby przysionkiem nieba jest raj: to ogród owocowy, w którym rosną same jabłonie i same grusze, a na ich gałązkach, pod liśćmi, zmienione w owoc, wiszą czyste dusze. Zrywać ich nie trzeba, bo zaraz ulatują w niebo. Niebo, to złote kłosa pszenicy, co się pochyla pod Boże nożki, „oj to nie pszenica, to w bożych łakach przesłiczne bratki, co się na ziemi bardzo kochali, a potem w niebie powyrastali.“

Opowiedziawszy naiwnie co robią w niebie Pan Jezus, Matka Najświętsza i anieli, od kogo się uczą przeróżnych pieśni, na zapytanie dzieciny, czy widziała i Stwórcę Boga, błogosławiona odpowiada bardzo głęboko, przesłicznie, jak nie wiem czy kiedy odpowiadziała jaka literatura:

Nie moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem;
Tylko z promieni co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże.

Gdy weszła w progi niebios,

Aż-ci po chwili, o łasko Boża!
Pocznie grać cudnie rumiana zorza,
Ale to taka słodka kapela,
Jak gdy zdaleka jadą wesela.
I ledwie słysząc skrzyteczne brzęki,
Jakieśi głosy, jakieś piosenki,
Niby słyszane i niesłyszane,
Jakby na ciszę wiejską rozwiane;
Coś jakby pszczoły lecące z miodem,
Coś jakby strumień, co szmerze spodem,
Coś jakby wietrzyk, co w krzaki dmucha,
Coś jakby słodkie słówko do ucha,
Coś jakby dzwiczny z kaplicy dzwonek,
Kiedy się ledwie rozbrzega dzionek
I pociemniałe oświeca krzaki,
Gdzie zmkle rosą budzą się ptaki.
Szczęśliwa słucha i zadumana
Pochyla czoło, zgina kolana,
Jako porzeczna, cicha lilia...

Wtedy słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym kłęk
Ujrzeni światłość jak przybywała,
Jak wszystko w okół poprzenikała.
A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać idącą w bieli,
Która gdy cicho stanęła w progu,
Umarli świata powstali w Bogu.

Po tak wzniosłe uczutym obrazie, już kończy się poemat odpowiedniem mu, wysoko poetycznym zamknięciem:

Lirenko moja, miła lirenko,
Coś mi tak nagle zgłuchła pod ręką?
Czyś się jasności niebios wylekła?
Czy jaka struna na tobie pękła?
— Anim się jasnych niebios wylekła,
Ni żadna struna na mnie nie pękła,
Tylko z powietrza dłoń na mnie spadła,
Na wszystkie struny palce pokładła,
Jak gdy szczęśliwe pachole nasze
Na gniazdku śpiewne pokryje ptasze.

Drobne te lecz wzniosłe poemata, napisane w roku 1854, w bieżącym doczekały się przesłicznego wyda-

nia ilustrowanego, które zawdzięczamy poznańskiemu księgarzowi i nakładcy, p. Żupańskiemu. Sztuka drukarska, malarstwo i rytownictwo podały sobie tu rękę, aby niczego nie brakło do przepychu. Tekst odbity okazał drukiem, na pięknym, grubym papierze welinowym, w wielkiej czwórce; ilustrował p. Antoni Zaleski, rytowali artyści paryscy. Chociaż to u nas drogo, bo aż 10 rubli kosztuje, ale zbytek to chwalebny. Co do ilustracji, jedną tylko zrobilibyśmy uwagę, iż nam się nie zdaje właściwem wystawienie zmysłowe w obrazie jak Pan Jezus pasie owieczki w niebie. W poezji, przytęm niby powtarzającej opowiadanie zachwyconej, jest to bardzo dobrze; zresztą poezya ma nierównie więcej zasobów aniżeli malarstwo: jej dość napomknąć, aby czytelnik dosnuł sobie duchowego, wewnętrznego obrazu. Malarstwo przeciwnie, działając obrazem zewnętrznym, powinno go tak przedstawić, aby przez zmysł wzroku wpadł nam do duszy i usposobił ją do stworzenia sobie duchowego obrazu. Tymczasem w narysowanych owcach widzimy w istocie *tylko owce*, i sądzimy że trudno oddać je idealnie. Przytęm mniej staranną jest pierwsza naczelną ryciną, chociaż, jak słyszeliśmy, ma ona być zmienioną. Najwięcej nam się podoba ta, gdy błogosławiona chrzci duszki dzieci zmarłych bez chrztu i św. Piotr czytający w wielkiej księdze wyroków.

Z Fontaineblau w 1854 r. Lenartowicz wyjechał do Włoch i długo żył w Rzymie; lecz klasyczna ziemia sztuki nie wywołała, ile wiemy, żadnej szacowniejszej pracy. Przeciwnie, w utworach z tego czasu mniej się nam podoba Lenartowicz; jakaś mgła mistyczna je obwiała. Wolimy jego przesłiczne ztamtąd listy, zalecające jadącemu do kraju pozdrowić w nim wszystko co swoje, co drogie. Ile wiemy z opowieści i domyślamy się z Nowej Lirence, poeta osłabł na zdrowiu. Żali się w Nowej Lirence, że już nie słuchają jego pieśni. Może to wina pieśni, że zmieniła swój nastrój i stała się dla nas *zagórską*, tak że już jej nie rozumiemy; ale co do owych, dawniej wyśpiewanych, z których tak *krajem wieje*, zaręczamy, że je zawsze chowamy w pamięci i często niemi ożywiamy serce, że zawsze dla ich śpiewaka poczuwamy się do szczerzej czci.

Ile pamiętamy, Lenartowicz był średniego wzrostu, szczupłej lecz miłej postaci; niewielki, czarny zarost oceniał mu policzki, a ra głowie rzesiste nosił włosy. Dziś, gdy tyle cudnych upolował piosenek, gdy tyle jaskółek, skowronków, przepiórek... do zielonego swego zwabił wirydarza, niebieska luna zawiesiła mu nad czołem srebrne godło swoje. W roku bieżącym wszedł w związki małżeńskie ze znaną chlubnie z talentu malarskiego panną Zofią Szymanowską. Mamy nadzieję że szczęście domowe, chociaż *nad wodami cudzemi*, ożywi poetę tak, że jeszcze zdejmie zawieszoną u zielonej gałęzi swoją lirenkę.

„Pracować trzeba i żywić nadzieję,
Że przecie ziarno niepróżno się sieje...
I wciąż siać trzeba, kmieciu ty Adamie,
Bo nie nadarmo Pan Bóg dał ci ramię,
I nie nadarmo różne dzieli dary,
W miarę zasługi i w miarę ofiary.“

Wojciech Grochowski.

Kronika tygodniowa.

Gdy naród jaki pragnie odrodzić się moralnie, porzucić drogę błędną, która go w nędzy i poniżeniu trzymała, a postępowaniem swym zyskać zadowolenie sumienia własnego i nakazać poszanowanie u obcych, wtedy to przerwienie się powinno być gruntowne, sięgające od podwalin warstw społecznych, aż do ich szczytu.

Niema tu drogi pośredniej. Społeczeństwo, które raz przejrzało się w zwierciadle prawdy, ujrzało całą nagość swych błędów i wad i uznało ich szpetność, a wyrzekło obietnicę poprawy, cofać się nie może, jeżeli nie chce aby potomność o niem wyrzekła, że mówiło o dobrych swych chęciach, ale zabrakło mu odwagi do wyrzeczenia się ulubionych nałogów; jeżeli nie chce ażeby przyszłe pokolenie ze wstrętem od niego się odwracało.

Przerodzenie się moralne powinno, powtarzamy, oprzeć się na niezłomnej woli i żelaznej wytrwałości i wypływać nie z chwilowego uniesienia i z przemijającego popędu, z naśladownictwa lub trwogi przed opinią publiczną, lecz z silnego przekonania wewnętrznego, że tak być powinno i tak być musi.

Życie nie powinno uważać się za zabawkę, brać je należy na serio; człowiek bowiem ten tylko spo-

kojnie umierać może, który na jakimkolwiek go Opatrzność postawiła miejscu, obowiązków swych sumiennie dopełnił.

Jesteśmy właśnie na tym punkcie naszego istnienia. Po długim, bardzo długim wierzaniu w nasz rozum, w naszą doskonałość, po niewypowiedzianem błogiem spoczywaniu na laurach nie przez nas uszczęśliwionych i przekonaniu uludnym że jesteśmy pierwszym ze wszystkich narodów na ziemi, przejrzałyśmy się nakoniec w zwierciadle prawdy, i zbladły lica nasze, gdyśmy ujrzeli że ten dym kadzidel, który zakrywał przed nami rzeczywistość, pochodzi z ognisk przez nasze ręce roznieconych; że to co brano za rumieniec czerstwości i blask cnót, to róż i bielidło, z pod którego nakoniec chorobliwa błądność wyjrzała; że ta nasza mądrość i doskonałość, to fałszywy bilon, którym w codziennem życiu, nieświadomi jego wartości, przez długie lata oszukiwaliśmy się nawzajem; że stoimy na cienkiej skorupie, pokrywającej niezglębioną przepaść zguby i zapomnienia.

Zabrzmiał więc zewsząd głos przestrogi, słowa Jonaśza wzywające do pokuty i poprawy, i znalazły odgłos we wszystkich piersiach pocziwłych.

I poczęto się krzątać okolo otrząśnięcia się z tego życia na żart, z wygodnego nietroszczenia się o jutro, i postanowiono wziąć się do gruntownej poprawy, odepchnąć zbytek, późność, życie nad stan, marnotrawstwo, wyrzec się na zawsze wad i błędów kalamających godność człowieka, a kształcić gruntownie kraj cały, począwszy od siebie samych.

Szeregi artykułów o pracy, o potrzebie nauki, o wytrwałości w dobrem, o szkołach, szkółkach, o wszelkich gałęziach wychowania publicznego i prywatnego, które wciąż zapelniają nasze dzienniki, dowodzą że weszliśmy na drogę nową, świętą, którą nam sumienie i prawda wskazały.

szczęście to dla każdego kto żyje w tych czasach i może choć jedną cegiełkę przygotować do tej wielkiej budowli; chlubą być współpracownikiem na tej bogatej niwie, do zoraną której gotują plugi. Oby tylko nie zabrakło nam wytrwałości do dźwignięcia i dokończenia zamierzonego przebudowania gmachu naszego społeczeństwa.

Usiłowaniam tym idą w pomoc zapowiedziane zmiany w wychowaniu publicznem, zmiany korzystne, rokujące wielkie nadzieje. Dotychczasowa instrukcja, niedostateczna i nieodpowiednia potrzebom czasu, zastąpiona być ma inną, stosowną do naszych życzeń. Jeżeli przed czterdziestu laty jedna szkoła krzemieniecka tylu zdolnych mężów wydała, którzy pięknie a użytecznie służyli krajowi, czegoż się spodziewać możemy w przyszłości, gdy *wszystkie* szkoły w kraju zostaną lepiej urządzone?

Nie tajemny że w początkach zwłaszcza trudno będzie znaleźć dostateczną liczbę ukształconych nauczycieli; ale droga do nauki stanie dla wszystkich pragnących jej otworem, a w krótkim czasie, przy dobru woli organizujących, brak ten zapelnionym być może.

W naszej więc mocy korzystać z każdej sposobności, ze wszystkich urządzeń, które za pożyteczne dla siebie uważamy.

Może znajdą się tacy, co powiedzą: „i cóż z tej pracy naszej, gdy może końca jej nie doczekamy.“ Odpowiemy na to, że nie każdy co szczepi drzewo, pożywa jego owoce; mało takich co sadzą lasy, w nadziei doczekania się z nich wyrębu, a jednak nie ustają w pracy.

Niechaj każdy z nas robi co w jego mocy, niech każdy na swém stanowisku będzie czynnym. Radą, piórem, kruszczem, pracą, przykładem, czém kto może, niech każdy wedle sił swoich stara się przyczynić do przekształcenia się społeczeństwa. Wydajmy wszyscy wojnę nałogom i błędom, otrząsnijmy się z wad i idźmy naprzód z ufnością w Boga, który nam swego błogosławieństwa nie odmówi, gdy ujrzę że to poprawa serdeczna, że dobre chęci przeniknęły całą naszą istotę, że idziemy naprzód wytrwale.

Piękne objawy tej ogólnej pracy ze wszystkich stron nas dochodzą. Tu założono szkółkę, tam urządzono czytelną bezpłatną, indziej zamknięto kilkadziesiąt peryodycznych szynków, lub zaprenumerowano pisma peryodyczne dla ludu, aby z nich czerpał pierwsze zamięłowanie oświaty. Tylko dalej, tylko naprzód! Bierzemy się do nauczania młodszą braci, bierzmyż się skrzętnie, ogólnie a wytrwale; niech to nie będzie zabawką lub przemijającym upodobaniem, ale przedsięwzięciem stałym i pracą ciągłą. Bierzmy się do nauczania włościan, lecz nie zapomnijmy i o sobie. Uczyć się trzeba, przeminał wiek złoty, a ze wstydem wyznać należy, że jeżeli włościan naszych uważamy za ciemnych, to cóż o sobie powiemy? Czy stosunkowo do naszego położenia społecznego, tak bardzo wyprzedziliśmy ich? Czy jeżeli ich obwiniamy

o próżniactwo i pijaństwo, my nie mamy innych wad? Czy pomimo szerokiego rozprawiania o potrzebie poprawy i przerodzenia, zaszliśmy już daleko na tej drodze, a czyny są zgodne w zupełności z zasadami które jawnie głosimy?

Otóż podwójmy kroku, nie upadajmy pod znójem, ale dźwigajmy się, i dalej, dalej naprzód! Niech jeden drugiego wspiera w pochodzie, niech mu ostro, bez pobłażania wykazuje błędy; niech jeden będzie przestrzegaczem drugiego; niech nas trudności nie zrażają; niech poprawa będzie szczerą, lenistwo wyklętym, wytrwałość nieprzełamana, a w takim tylko razie zasłużymy sobie na należną pracy nagrodę, do której dziś może jeszcze prawa nie mamy.

Ze stanowiska zapatrywania się na rzeczy ogólne, zejdźmy do spraw codziennych.

Wspomnieliśmy wyżej o usiłowaniach podjętych w wielu miejscach, celem moralnego podniesienia ludu wiejskiego. Przytoczymy tu parę szczegółów, które może posłużą jako przykład do zastosowania w praktyce w okolicach innych.

W osadzie Z. nad Narwią, w powiecie pułtuskim, gorliwie zajmują się upowszechnieniem oświecenia i zamilowania porządku pomiędzy osadnikami. Ponieważ już na tej drodze ujrano znaczny postęp, postanowiono więc użyć środka silnie działającego na opinię ogólną ludności. Właściciel kazał sporządzić ramy złożone ze szkłem, w których oprawiono napis czerwonymi czcionkami odbity: „*Tu mieszka najporządniejsza gospodyni*“, i zawieszono je na chacie tej, która na to zasłużyła. Przeciwnie, tam gdzie wszelkie upominania nie skutkowały, zamieszczono w ramach czarnych napis czarny: „*Tu gniazdo wszelkiego nieporządku*“. Środek ten wydał nadszpiegowane owoce: gospodynie na wyścigi ubiegają się, aby na swych chatkach mieć napis czerwony; kobieta zaś, która zasłużyła sobie na nazwę nieporządną, z płaczem w tydzień zgłosiła się do dwooru, prosząc o zdjęcie tablicy czarnej, bo już się zupełnie poprawiła.

We wsi znów D., w gubernii warszawskiej, gdy osoba która przez cały rok prenumerowała dla włościan Kmiotka, w ostatnim kwartale tego nie uczyniła, włościanie, po oczekiwaniu nadaremnie numeru, dowiadując się ile Kmiotek kosztuje; a gdy ich zapytano dlaczego to czynią, odpowiedzieli:

— Proszę w. pana, myśmy radzi kupić sobie tego Kmiotka, bo widzimy że to na pana może i ciężko płacić, a takeśmy się do niego przyzwyczaili, że jak przyjdzie niedziela, a Kmiotka niema, to się nam strasznie bez niego przykrzy.

Byliśmy świadkami czytania jednego z pism ludowych w Z. i podziwialiśmy zajęcie i współczucie z jakim zgromadzeni włościanie słuchali czytania. Nie obeszło się bez wykrzykników i uwag. Każda myśl rzowniejsza wywoływała westchnienia, każda myśl moralna i trafająca do przekonania podobała się powszechnie, a jeden z sędziwych słuchaczy, po skończeniu czytania zapytany o zdanie, rzekł: „Wszystko to, wielmożny panie, bardzo piękne; przykro tylko człowiekowi, że dopiero w starości takie rzeczy słyszy, a dawniej nic o tym nie wiedział. Przyjdzie śmierć niedługo, trzeba będzie umierać, nie dowiedziawszy się ani części tego, co ludzie mądrzy w książkach piszą.“

Otóż widzimy że pierwsze promienie jutrzeńki oświaty, już piękne wydają owoce.

Wszędzie na świecie dzieją się nadużycia i często

dobra wiara wychodzi na złe ludziom poczciwym a ufny. Niedawno mieliśmy przykład dowodzący jak w każdej rzeczy należy być ostrożnym i poznać dobrze osoby z którymi się wchodzi w interes, zanim przykra nauka przekona o potrzebie oględności.

Jeden z obywateli wiejskich potrzebował nauczyciela do dzieci. Ktoś mu polecił pewnego pana, który długim bardzo pobytym za granicą dawał gwarancją, że może z korzyścią udzielać różnych nauk i języka francuzkiego.

Pan nauczyciel powiedział dużo pięknych rzeczy użytemu do ugody pośrednikowi; prosił o przysłanie koni, a w końcu zażądał trzysta złotych na zaspokojenie potrzeb i sprawunków, które uskutecznić musi, zanim się będzie mógł pokazać w porządnym domu obywatelskim.

Obywatel, zaufawszy poczciwości tego pana, przysłał żadaną na rachunek pensji kwotę, a w tydzień

wystawiony był na zawód i chcąc niechcąc przyjąć musiałem inne miejsce.

— Ależ konie były przysłane, a pan, wzięwszy za liczkę, nie miałeś prawa przyjmować innego miejsca.

— Gdyby były konie przyszły, tobyś mi pan dał znać.

— Ależ pan wyprowadziłeś się z mieszkania, bez zostawienia adresu.

— Ja dla pańskiego kaprysu nie mogę tam mieszkać, gdzie mi niedogodnie, a zresztą niewarto tyle robić hałasu o drobnostkę.

— Śliczna mi drobnostka, zawód i trzysta złotych!

— Jak będę miał, to panu oddam, a proszę mi nie zastępować drogi i nie gadać impertynencji, bom do tego nieprzyzwyczajony.

To mówiąc, odszedł spiesźnie. Za prawdziwość tego faktu zaręczamy, ostrzegając mających chęć przyjmować gubernatorów, aby się podobnych panów strzegli.

W przeszłej kronice wspomnieliśmy o pismach Lelewela. Zaszła tam omyłka drukarska, że historyk nasz miał zamiar zapisać swe książki statystyczne jednej z akademij *berlińskich*. Prostujemy ten błąd, gdyż jednej z *belgijskich*, a właściwie bruckelskiej zapis ten pierwotkowo był przeznaczony.

Po Lelewelu został także zbiór jego... poezyj. Prawdziwa to niespodzianka, gdyż nikt nie przypuszczał ażeby znakomity ten pisarz rzucił niekiedy stawy rylec historyi i uderzał w struny lutni poety; będzie to więc nader ciekawa osobliwość. Pomiedzy pozostałymi rękopismami wymieniają także znaczne powiększenie dzieła: *Nauki podające źródła do historyi*, trzeci tom dzieła *O Bibliografii*, ołok powiększenia dwóch pierwszych, i nadto *Historyą Rzymu*.

Historya Polska, o której wspomnieliśmy w poprzedzającej kronice, ukończoną była w r. 1813 i przedstawioną przez Lelewela Woroniczowi. Uczony mąż, po przeczytaniu tej pracy, zwracając ją młodemu wówczas pisarzowi, rzekł: „Ale też acpan porządnie wytargałeś za siwe brody naszych starych Polaków.“ Lelewel tedy wstrzymał się z jej ogłoszeniem i wydał tylko wstęp: *Ostatnie lata panowania Zygmunta I*. Później pracę tę uzupełniał i przed r. 1830 ukończył.

Z nowin wydawniczych wspominamy o Teologii pasterkiej ks. Sailera, która wyjdzie w tych dniach nakładem M. Glücksberga. Dzieło to, w przekładzie polskim Leona Rogalskiego, pomnożone jest przepisami dotyczącymi utrzymywania aktów stanu cywilnego przez duchownych, a tak stać się może księgą podręczną dla

każdego pasterza duchownego.

Z nowin brukowych nie możemy nic ważniejszego donieść, jak tylko że chodniki ciosowe Nowego Świata, a osobliwie Krakowskiego-Przedmieścia, rozwodzą narzekania głośne, że pomimo najlepszych chęci dłużej już, dla podeszłego wieku, publiczności służyć nie mogą. My, po codziennym sprawdzaniu słuszności tych utyskiwań, wstawiamy się za biędnymi inwalidami, mając nadzieję iż następcy ich zapewne zajmą całą szerokość chodnika, gdyż dotychczasowe ścieżki są nader wąskie i sprowadzają co chwila potrącania się i upadki.

Mielibyśmy także prośbę do wszystkich świątłych i postępowych właścicieli domów, ażeby raczyli w sieniach swych domów zawieszać spisy lokatorów każdego piętra; najczęściej bowiem i stróż, nie znając ich nazwisk, wskazać mieszkania nie umie, a tak szukający naraża sam siebie na utrudzenie, a lokatorów



ŻEBRACY UKRAIŃSCY (Rysował Podbielski, z fotografii Kordysza).

W dalszym ciągu typów i obrazów ukraińskich, dajemy tu kopią drzeworytniczą z fotografii zdjętej z natury przez pana Kordysza, wyobrażającą grupę żebraków tamecznych.

potem nadeszły i konie, jako w terminie przez pana gubernera oznaczonym. Pośrednik udaje się do jego pomieszczenia, ale dowiaduje się z zadziwieniem, że gubernier znikł, że wyprowadził się przed kilką dniami, niewiadomo dokąd. Znalazłszy się w tak przykrém położeniu, rekomendujący napróżno szukał śladów znikniętego. Nareszcie po miesiącu spotyka go na ulicy.

— Łaskawy panie, rzeknie do niego, cóżes zrobił? Pieniądze wzięłeś, wyprowadziłeś się niewiadomo dokąd, narażając osoby u których miejsce przyjąłeś na zawód, a mnie na wstyd zem cię rekomendowałem.

— Mój panie! odrzeknie tamten, trzeba było natychmiast konie przysłać. Nie przysłałście, więc ja

na niemiłe nachodzenie i wypytywanie się. Grzechność tę panów właścicieli ogół mieszkańców potrafiłby ocenić i wyświadczyłoby przez to prawdziwie obywatelską wszystkim przysługę.

Byłoby także do życzenia, ażeby panowie handlujący węglami kamiennymi, przesyłać je raczyli w wozach oplombowanych, jak p. Szymanowski drzewo; być bowiem może iż nie wszystkim wiadomo, że węgiel kamienny, mianowicie w bliskości szynków, jest bardzo lotny, i dlatego przez drogę czasem pół, a nawet korzec cały ulotnić się może. Nadto dobrzeby było sprzedawać go na wagę, bo stawiając się kanciasto w korcu, może nie trzymać miary i niewinnie narażać handlujących na zarzut niedopilnowania jej sumiennosci.

Odezwą *pro domo nostra* zakończamy kronikę dzisiejszą. Niedawno jedna z czytelniczek zwróciła do znakomitej autorki *Poganki i Książki pamiątek* dość ważne pytanie, dotyczące jednej z ciekawszych kwestyj psychologiczno-moralnych. Otóż upraszamy ją najuprzejmiej, ażeby zapytania owego nie została bez odpowiedzi, podając tym sposobem publiczności sposobność spotkania się choć w ulotnym artykule, z ucihłym zbyt dawno słowem *Gabryeli*.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO JURA WE LWOWIE.

Zkądkolwiekbyś zblizmy się do Lwowa, zewsząd uderza nas przedewszystkiem, nim się wynurzy cały Lwów ze swojej nadpeltewskiej kotliny, widok wspaniałej świątyni, wznoszącej się na wzgórzu zachodnio-północnym, zbudowanej sposobem włoskim, a panującej wesoło i okazale nad całą okolicą. Jest to kościół św. Jura.

Kościół ten, przypominający składem i kopułą św. Piotra w Rzymie, nie przypomina go bynajmniej wrażeniem. Oto pokrótce historia jego.

Pustelnia na górze św. Jura.

Górę na której dzisiaj wznosi się wspaniały gmach św. jurskiego kościoła, przed laty przeszło sześciuset, około połowy XIII wieku, okrywały lasy bukowe. Dzisiaj zieleni się ona gęstą a niską trawą. Na niej to ukrywali się wśród gęstwiny leśnej, wedle podania, pierwsi wyznawcy i krzewiciele wiary chrześcijańskiej, a zakonnicy św. Bazylego zakładali na górze poświęconej świętemu Jerzemu swoje pustelnicze siedziby. Tak trwało osiedlenie św. Jura aż do roku 1280. Podanie to przechował nam B. Zimorowicz w historii Lwowa pod tytułem: *Triplex Leopoldis*.

Mamy o św. Jurze jeszcze inne podanie. Pośród onej leśnej braci zakonnej, osiadł jako pustelnik książę Wasyl, z panującej wówczas na Haliczu dzielnicy książąt. „Księga Dziejów,” w swoim niekrytycznym

i niepoprawnym ale prostodusznym sposobie, tak o nim pisze:

„Tego roku 1280 Bazyli, książę halicki, brat Daniela króla ruskiego, a stryj Leona, księcia ruskiego, mąż wielkiej odwagi i wspaniałego umysłu, po długich utarczkach i zwycięstwach wojennych wypracowany, w starości swojej opuszczając światła marności, a chcąc ku końcowi życia samemu służyć Bogu, dobrowolnie przyjął mniskie życie i na mnicha zakonu św. Bazylego postrzyżony, obrał sobie na mie-

niał osobną swoją stolicę i każdy stał się głową osobnej dzielnicy. Daniel panował w Haliczu do r. 1265, Wasylko do r. 1269.

Z powyższej przytoczonej baśni jest więc tylko to prawda, że Daniel halicki, który był istotnie z polecenia papieża Innocentego IV koronowany królem halickim w r. 1253, miał rzeczywiście brata Wasylka; o jego postrzyżeniu na mnicha wszakże niema nigdzie we współczesnych kronikach mowy, a pustelnikiem na górze św. Jura nie mógł być w r. 1280, gdy w r. 1269 umarł i we Włodzimirzu pochowany został.

Kim był pustelnik, to nam wyjaśnia ks. Petruszewicz. Twierdzi on że Wasylko Romanowicz, książę włodzimirski, musiał mieć oprócz syna Jana Włodzimirza, który był jego następcą tronu, jeszcze drugiego syna, *Wasylka*. Opiera Petruszewicz to twierdzenie na bullaryszu oo. franciszkanów i tam się znajduje bulla Grzegorza XII.

Możemy więc opowieść Zimorowicza i Księgi Dziejów w ten sposób sprostować, że w r. 1280 osiadł Wasyl Wasylkowicz książę

włodzimirski jako pustelnik na górze św. Jura koło Lwowa.

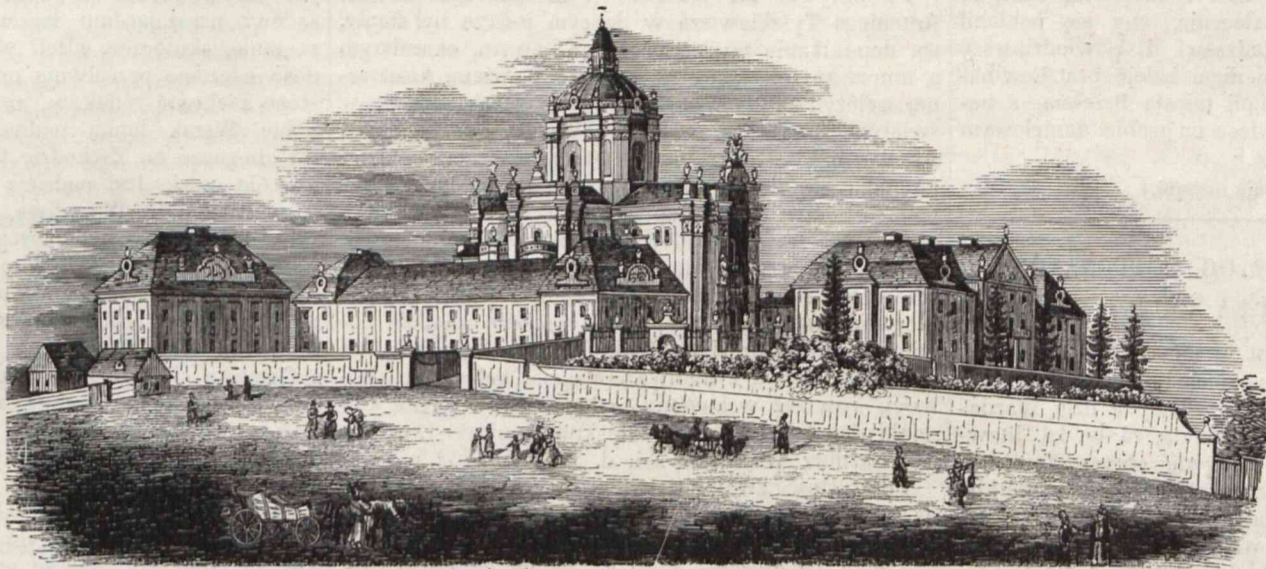
Monaster świętojurski.

„Książę Wasyl, zostawszy pustelnikiem, tak niesie dalej podanie, zacząwszy świętobliwe, zakonne prowadzić życie, dał pobudkę księżciu Leonowi, miasta Lwowa fundatorowi, a synowcowi swemu, że dla niego na górze, pod którą była pieczara, na zachód od miasta leżącej, cierniem i lasem obrosłej, na samym wierzchołku monaster założył, cerkiew bukową wystawił, św. Jerzemu męczennikowi w opiekę oddał i czei jego pod jego tytułem ofiarował.”

Niema powodu powątpiewania, że monaster św. jurski założony został przez Lwa Daniłowicza księcia halickiego, który pierwszy obrał Lwów stolicą swoją; niema także powodu powątpiewania o tem, że Wasyl, (książę włodzimirski, a stryjeczny brat panującego na Haliczu Lwa), był pierwszym przełożonym czyli igumenem monasteru.

Trwało to przełożenie przez lat dziesięć, a zatem aż do roku 1290. W ciągu igumenstwa wasylkowego podaje znowu Zimorowicz, jakoby

w r. 1292 „książę Lew ciałojca swego Daniela, księcia halickiego, wprzód piętnastu latami zmarłego, z przynależnym księżęcej godności pogrzebem w Haliczu złożone, do nowo wybudowanej cerkwi św. Jerzego do Lwowa przeniósł, które przeniesienie wielce poważne i wspaniałe było, bo, jak opisuje Zimorowicz, wojska liczne i mnóstwo duchowieństwa, a osobliwie zakonnicy zakonu św. Bazylego, na przemianę pogrzebowe nabożeństwo śpiewając, według rubryki czyli ustawu ruskiego, poprzedzały.” Opisanie to Zimorowicza, jak-



KOŚCIÓŁ SW. JURA WE LWOWIE.

szkanie zakonne pieczarę na prawej stronie pod tą górą, na której teraz (t. j. około r. 1770) ten monaster św. Jerzego.”

Tę wiadomości zaprzecza słusznie ks. Petruszewicz, który w zbiorze rozpraw historycznych pod napisem *Istoriczeskij Sbornik*, wielkie zasługi położył około wyświecenia dawnych dziejów naszej krainy. Jakoż w kronice tak zwanej „*Ipatjewskiej*” wyczytujemy że *Roman Mścistawicz*, który objął kniazstwo halickie



KALWARYA ŻMUJSKA. (Rysował z litografii Podbielski).

za pomocą Polaków w r. 1198 i zginął w r. 1205, zostawił nieletnich dwóch synów: Daniela i Wasylka. Po długoletnich walkach, zdołał się nareszcie obaj Romanowicze ustalić na tronach swoich, pierwszy w Haliczu, drugi na Włodzimirzu. Było to około r. 1240. Obaj ci książę, sławieni przez współczesnych latopisów ze swojej braterskiej miłości i zgody dożgonnej, prowadzili razem wszelkie wojny, dzielili z sobą dołę i niedołę, tak że istotnie i państwo ich możnaby uważać za jedno, gdyby nie to, że każdy

kolwiek szczegółowe, nie zawiera przecież ani słowa prawdy.

Daniel król halicki, nie był pierwotnie pochowany w Haliczu, tylko w Chełmie, jak świadczy *Kronika ipatjewska* pisząc: „i położył w cerkwi św. Bogorodicy w Chołmi.“ W Chełmie też leży zapewne do dziś dnia, a przynajmniej że leżało po r. 1282 ciało Daniela. Kronikarz wołyński opowiada bowiem, że w r. 1287, kiedy Jan Włodzimierz książę włodzimirski, syn Wasyla Romanowicza, leżał na śmiertelnym łożu, posłał do niego Lew Danielowicz władcykę przemyskiego i dał mu zlecenie, aby się pokłonił książę Janowi Włodzimierzowi i powiedziawszy jak bardzo nad jego cierpieniem boleje brat Lew halicki, prosił żeby mu odstąpił miasta Brześcia, a będzie to, mówił on: „na świecę na grobie danielowym znajdującym się w Chełmie.“

(Dokończenie nastąpi.)

KOŚCIÓŁ I KLASZTOR OO. DOMINIKANÓW W KALWARYI NA ŻMUJDZI.

Kalwarya żmujdzka, jest to miasteczko parafialne, w gubernii kowieńskiej, powiecie telszewskim, leżące nad rzeką zwaną niegdyś Gordona, a dziś Wardawa. W tej rzece, według podania, za w. ks. litewskiego Witolda, miał się odbywać chrzest Żmujdzinów, i ztąd ta druga jej nazwa, od wyrazów żmujdzkich: *warda dawé*, imię dano.

Kalwarya była niegdyś wsią należącą do dóbr stolowych biskupów żmujdzkich i nazywała się Gordy. W tych Gordach, na wyniosłej górze, od niepamiętnych czasów stał drewniany kościółek, niewiadomo przez kogo zbudowany, pod nazwą św. Jana chrzciciela.* W r. 1622 nadany mu został choć nader szczupły fundusz, na utrzymanie stałe już przy nim mieszkającego kapłana. Gdy zaś w r. 1633, po Melchiorze Eliazewiczu biskupie, za wolą króla Władysława IV i potwierdzeniem papieża Urbana VIII, Jerzy Tyszkiewicz biskup, mąż pełen światła i gorliwości, z sufraganii wileńskiej przeniósł się na dycieczalną stolicę żmujdzką, — troskliwy o dobro duchowe swęj ovczarni, na Gordy szczególnie zwrócił pasterską swą uwagę. Zwiększył najprzód fundusz kościoła i uczynił go parafialnym; potem, uważając za najdzielniejszy środek do rozniżenia i utrzymania w ludzie pobożności i wiary, rozpamiętywanie bolesnej męki Zbawiciela, w tajemnicach krzyżowej drogi Jego: — na zaprowadzenie jej malowniczo piętrzące się w różnych kierunkach gordyańskie góry, za najstosowniejsze uznał miejsce. Jakoż uczynił dokładny rozmiar, według stacyj jerozolimskich, wystawił 49 kaplic, i, jak mówią, sam po raz pierwszy obchodząc drożki na kolanach, posypywał jej ziemią świętą, uмышленie na to przywiezioną z Jerozolimy.

W r. 1637, przez pamięć, jak się wyraża w dokumencie fundacyjnym, na prace apostolskie w tych krajach św. Jacka Odrowąza, oraz innych braci kaznodziejów, jakoto: Mikołaja Wężyna i Jana z Opotowicz, nazwanego *Episcopellus*, którzy należeli do pierwszych opowiadaczy wiary świętej na Żmujdzi, sprowadza do Gord ks. dominikanów, z kongregacji litewskiej, i na wzgórzu buduje dla nich z drzewa klasztor i kościół, pod nazwą Wniebowzięcia Maryi, porucza im utrzymywanie stacyj krzyżowych z kaplicami, oraz pieczy ich oddaje parafią z inwentarzem kościelnym św. Jana.

Odąd Gordy poczynają się nazywać *Kalwaryą*, albo *Nową Jerozolimą*.

Zapis fundacyjny biskupa Jerzego Tyszkiewicza, noszący datę 7 września 1642 r., otrzymał potwierdzenie stolicy apostolskiej, za papieżstwa Urbana VIII, 8 czerwca 1644 r.

Innym jeszcze dokumentem, z 5 lipca 1649 r., tenże fundator, Jerzy Tyszkiewicz, oddaje oo. dominikanom kalwaryjskim i ich kościołowi, znacznej wielkości relikwie drzewa krzyża świętego, przysłaną sobie z Lublina, z kościoła także dominikańskiego, przez brata swojego, Janusza na Łohojsku Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego; aby zaś relikwia takowa na wieczne czasy utrzymała się w całości, grozi klątwą każdemu i na sąd Boski pozywa tego, kto by śmiało choć najmniejszą oddzielił z niej cząstkę.

Fundusz pierwiastkowy, nader szczupły, zwiększył się z czasem, już to z dóbr biskupich, za zgodą kapituły, już to z daru różnych dobroczynnych osób. Największym jednak dobroczyncą i jakby drugim fundatorem kościoła był późniejszy biskup żmujdzki, Antoni Tyszkiewicz. Gdy bowiem pierwszy kościół, fundacji Jerzego Tyszkiewicza, miał się już prawie

ku ruinie, i będąc za szczyptym, nie odpowiadał potrzebom licznie zawsze zgromadzającego się ludu, w r. 1750 wystawił nową, obszerną świątynię, również drewnianą, ozdobił ją piętnastu kosztownej roboty ołtarzami i poświęcił. Kaplice też stacyjne naprawił a inne pobożnie na nowo. Dziś pięć jest murowanych, a reszta drewniane. Za tego biskupa wyjednali dominikanie od generała zakonu ks. bernardynów, Piotra Innocentego de Molina, wszystkie przywileje i odpusty, służące stacyom drogi krzyżowej.

Po upływie lat przeszło trzydziestu, lubo kościół Antoniego Tyszkiewicza w dobrym jeszcze był stanie, oo. dominikanie myśleć poczęli o nowym, okazalszym a murowanym. Jakoż w r. 1785 na ziemi klasztornej założyli fundamenta nowej, wielkich rozmiarów świątyni, pod nazwą również Wniebowzięcia Maryi. Ale zasób klasztorny prędko się wyczerpnął; musiało udać się do kwesty i ofiar dobroczynnych, i robota szła bardzo niepospiesznie. Dopiero w r. 1822 ukończoną została budowa nowej świątyni, tak jak na rysunku widzieć się daje. We dwa lata później rozebrano stary drewniany kościół i ołtarze do nowego przeniesiono. W ołtarzu wielkim na dole pomieszczono obraz Matki Boskiej łaskami słynącej, na lorecie zaś krzyż z figurą Zbawiciela, kolosalnej wielkości, również wslawiony cudami. Poświęcenie kościoła dopełnił terazniejszy biskup żmujdzki, j. w. Maciej Kaźmirz Wołoczewski, d. 4 maja 1832 r.

Uroczystość zwana Kalwaryą wielką, obchodzi się na Nawidzenie N. M. Panny. Odpust zupełny przez dni dwanaście, nadany został przez papieża Piusa VI, pod datą 19 czerwca 1789 r. Dniem głównym uroczystości jest niedziela idąca po Nawidzeniu N. M. Panny. W tym to dniu odbywa się wielka processya, czyli obchód z drzewem krzyża świętego stacyj męki Pańskiej. Towarzyszącego tej processyi ludu liczyć można zawsze do kilkunastu tysięcy, a przez dni dwanaście przystępujących do św. Sakramentów, bywa po dwadzieścia i więcej tysięcy.

Podobne processye odbywają się jeszcze 3 maja na Znalezienie, i 14 września na Podwyższenie krzyża świętego. Prócz tego w Wielki piątek i każdej pierwszej niedzieli miesiąca, obchodzi drożki krzyżowe zwykła processya parafialna; lud zaś wierny, przez całe lato aż do późnej jesieni, nietylko w święta, lecz i w dni powszednie odbywa tu często podobne nabożeństwa.

Klasztor, jakeśmy wyżej nadmienili, fundowany przez biskupa Jerzego Tyszkiewicza, był również pierwotnie drewniany; lecz gdy ten w r. 1842 zgorzał, w roku następnym, za przeorstwa ks. Franciszka Skilskiego, z kwesty i ofiar dobrowolnych stanął terazniejszy murowany.

Ks. dominikanie kalwaryjscy, prócz posługi duchownej, poświęcali się także uczeniu młodzieży; od roku bowiem 1763 przy klasztorze swoim utrzymywali szkołę prywatną, noszącą nazwę parafialną, która w r. 1803 zaliczoną została do rzędu szkół powiatowych, na stopniu gimnazjalnym (o sześciu klasach). Liczba uczącej się młodzieży dochodziła niekiedy do 700. Zamkniętą została szkoła kalwaryjska w r. 1836.

WYCIĘCZKA DO GDAŃSKA. przez Deotymę.

(Dokończenie).

Siedlisko przez nas obrane, leży na samym niemal końcu ulicy *Północnej*, już pod otwartymi polami. Przez ganek o białych słupkach, wchodzi się do drzwi zielonych po schodkach, które ocienia różowy obłok oleandrów. Dom murowany, co jest zjawiskiem w Sobotach, pokoiki mamy wesole, obstawione sprzętami z mahoni, zjawisko jeszcze tu rzadsze. Pod oknami szumi dziedziniec a raczej ogródek pełen kwiatów i drzew, w liczbie których wspaniały świerk się odznacza. Za ogródkiem widzimy drogę, za drogą sosnowy las, tak z rzadka rozsiany, że pomiędzy pniami wzrok dostrzega nieustannie błyskające fale. Na szczęście las tu się kończy, co sprawia że wyjrząwszy przez okna wycięte w bocznej ścianie domu, można widzieć niczym już nie zasłonięty Bałtyk.

Mieszkać w lesie, pod górami, nad morzem, są to trzy zachwycenia, których nietylko dość jest dla poety, ale dość aby został poetą.

Mamże jeszcze mówić o roskoszy jaką rozlewa tchnienie wiatru od słonych bezdeni? Kto nie oddychał powietrzem morskiem, ten nigdy nie odetchnął głęboko. Na mnie powietrze to czyni wrażenie podobne jak czytanie Iliady; i z nieśmiertelnych rapsodów

i z nieogarnionych głębin, wieje atmosfera młoda a jędrna, podniecająca a trzeźwa; jest to atmosfera odwagi; i ztąd może tłumaczy nam się szalenie — spokojna odwaga marynarzy, owych niewieńczych bohaterów, których najśmielsze czyny nie mają innych świadków, oprócz rozrukanych bałwanów i piorunującego nieba.

Znalazłszy tak uroczyste ustronie, tegoż dnia jeszcze poszłam rzucić się w objęcia bałtyckiej Najady, co się następnie codziennie powtarzało, z równą przyjemnością jak pożytkiem dla zdrowia. Tu pora zaprzeczyć przesądowi, uważającemu leczenie się w falach Bałtyku za mniej skuteczne, niżeli w innych morzach. Własne doświadczenie przeciwnie mię przekonało, i nie przestanę zachęcać rodaków, ażeby licznie uczęszczali do Sobót. Wszak lepiej podnosić nadwiślański zakład, niż z bogactw na Zachodzie te, którym nigdy nie zabraknie gości. Jest nadzieja że gdy kolej żelazna połączy Gdańsk z Warszawą, wrócą się czasy w których uczeni i panowie polscy jeździli na wesołe *Soboty*.

Dni mijają jak godziny, urozmaicane tłumami rozrywkami. Co *sobota* (uważać że nie co niedziela, ale co sobota, wyraźnie na uczczenie przeszłości), urządzoną tu jest zabawa, na którą około tysiąca osób z Gdańska się zjeżdża. W dzień ten, od rana, drogi wiodące do Sobót grmią od pędu otwartych omnibusów, żółtych starożytnych landar i leciuchnych koszykowych karyolek; to wszystko nabite tłumem wystrojonym jak na bal.

O zachodzie słońca w sali nad morzem zbudowanej, przejeździ artyści wyprawiają koncert. O zmroku, w innej sali, szereg par puszcza się w taniec. Późno wieczorem, gdy płas zaczyna nużyć, muzykanci, tancerze i widzowie, wszyscy wynoszą się do ogrodu, gdzie przy grzmieniu dętych narzędzi spożywają wicherze pod drzewami oblanymi łuną bengalskich ogniów, które czarnoksiężko odbijają się w morzu.

Ale jedna zabawa wszystkie przewyższyła. Trzy są tu główne uroczystości: pierwsza na otwarcie pory kąpielnej, druga w środku pory, trzecia na jej zakończenie. Środkowa ma najwięcej świętności, wtedy zjadz najtłumniejszy i najpogodniejszą część roku; takiej byliśmy świadkami. Oprócz przygotowań właściwych cosobotniej zabawie, ważniejsze wystąpiły: w chorągwie i grubo uwite wieńce ustrojono nietylko gmachy, ganki i kolumny, ale nawet drzewa; festony z kolorowych tkanin rozpięte były ponad alejami; ogromny maszt zatknięty w ogrodzie i naszpilowany całym pękiem sztandarów, szumił jakby jedwabna palma; orkiestry odpowiadały sobie z gajów; okręt angielski, stojący na widnokresie, rzucał na wiatw armatnie wystrzały; oficerowie tego okrętu przybyli na zabawę w czolnie, którego wioslarze mieli strój świąteczny, biały z niebieskim. Po obiedzie pojawiły się w niezrachowanej liczbie łodzie ustrojone lasem flag i kotarami ze świeżej zieleni. Większa część gości wsiadła, i pstre flotylle rozsypały się i goniły po morzu, tworząc nadobne widowisko dla pozostałych na brzegu. Gdy zupełnie zciemniało, puszczone nad wodą fajerwerk; nam się on wydał mały i ubogi, ale u Gdańszczan i Sobocian wzniecił niezmierny zapał, i do świtu nie można było oka zamknąć od pękania rac i wykrzyków uciechy.

Co mi się najbardziej podobało w tutejszych festynach, to szczodrota, więcej powiem, rozrzutność kwiatów. Tu dopiero zrozumiałam jak mogą być zużytkowane owe góry bukietów, owe równianki na łokcie, któremi zatrzęsiona są ulice Gdańska. Żadna uroczystość, czy rodzinna czy ludowa, nie obejdzie się w tych stronach bez powodzi kwiatów. Jest to może najdzielniejszy środek upoetyzowania życia, i dobrze byłoby ten zwyczaj wszędzie rozpowszechnić, tém bardziej że u nas byłby on tylko powrotem do zwyczaju naszych praocjów, którzy tak się kochali w kwiatach, że niegdyś gospodni domu nie witała inaczej gościa, jak podaniem mu wieńca.

Milszemi jednak od tych tłumnych zabaw były samotne przechadzki, jakie przez długie godziny odbywałam w malowniczych okolicach wioski; jedną z najpiękniejszych jest tak zwana przechadzka *Do młynka*. To dziwne, że jak do miejsc zaklętych, niema do niej drogi; trzeba iść na przelaj przez szorstkie zagony i gęste jakby lasy pola kukurudzy, aż dostąpiwszy do podnóża wzgórza, wchodzi się nagle na ścieżki wygracowane, ustrojone w ławki i altany. Ścieżki wiją się po górach, tu miękko, tam spadzisto, raz przepadają w gąszczach, to znowu wybiegły na jakiś szczyt wesoly, pozwalają ogarnąć niezmierny krajobraz. Takim labiryntem dochodzi się do urwistej kotliny, gdzie potok wrząc, kipiąc i trzęsąc się od gniewu, obraca młynskie koło. Prostopadłe prawie ściany parowu powtarzają te łoskoty odurzającym echem. Nawet na podłożnych co zwidzali prawdziwe góry, dolinka ta czyni wrażenie, bo jest taka dzika, jakby szczelina

(*) Moze na pamiątkę chrztu Żmujdzinów w rzece Wardawie.

przez którą można zajrzeć do głębin baśni o zbójcach i strachach.

W téjże samej stronie, tylko nieco więcej na lewo, jest druga przechadzka, zwana: *Do siedmiu kaskad*. Małeńkie są te kaskady, ale swawolne, ale szczebiotliwe! Nie wiem dlaczego siedem z nich tylko ma zaszczyt występować w nazwie, kiedy nawet na traf chodząc, przynajmniej dwanaście naliczyłam.

Inną razą postanowiliśmy brzegiem morza dojść do góry *Orłów*. Półkolistość zatoki dziwnie myliła oczy; zdawało mi się że w jakie dwie godziny dojdziemy do rogu półksiężycy. Przechadzka okazała się nadspodziewanie uciążliwa. Jedną z największych tu niedogodności jest wstęga piasku obdzierająca morze. Piasek ten nie ma zbitęj twardości jaką mu na innych brzegach nadaje przypływ i opływ morza; Bałtyk tu nie zna księżycowego zjawiska, to też piasek jest ruchomy i przepaściście miękki. Jeszcze z początku mieliśmy po lewej stronie pola i łąki, po których łatwiej stapać; ale wkrótce wzgórze tak się zbliżyło do morza, iż między prostym świętym brzegiem a bałwanami została tylko owa wstęga piasku. Wtedy pożałowałam że nie mamy z sobą wielbłądów; musieliśmy iść nad samą wodą, nieledwie że w wodzie, gdyż tam tylko piasek był nieco jędrniejszy. Na domiar trudności strumienie ze wzgórz zlatujące, zagradzały co chwila przejście; trzeba je było przekakiwać po ślizkich kamieniach, nie zawsze szczęśliwie. Tak idziemy godzinę i półtorę, a góra *Orłów* zamiast zbliżać, zdaje się oddalać; coraz nowe zakręty otwierają się w zatoce. Zrozumieliśmy że i na noc tam nie zajdziemy, i wrócili nie dopiąwszy celu głównego, ale za to kilka pomniejszych, które główny wynagrodziły: opiliśmy się słonego, zdrowego powietrza, przypatrzyli igraszkom fal i ciekawym rozłamom brzegów, a nadewszystko stosom bursztyneków i muszli, które chrupiącą warstwą zaścielają piasek.

Innego dnia znechęła nas przechadzka zwana *Drogą Leszczyńskiego*, zaczynająca się około domku tego monarchy. Arkadyjska to ścieżka; niech się Wirgili i Szymonowicz schowają przed taką żywą sielanką. Morze byłoby za potężnym do podobnego obrazu; to też widać je tylko z dali, niby błękitne podwinięcie widnokregu. Po jednej stronie ścieżki biegną wzgórze lekko wzdęte, jakby utoczone, po drugiej aż do wody skłaniają się łąki; co za łąki! Woń sianokosów dochodzi duszącą tęgością; gęstość trawy zdaje się futrem. Sławne żuławskie bydło, plamiastą suknią odziane, brodzi w tych falach zieleni i zwolna okrągłe oczy zwraca na przechodnia. Od czasu do czasu pojawia się ponik i brzozy mostek, jak więsz wracający na końcu każdej wrotki. Ostatecznie ścieżka doprowadza do *Karlínkowa*, miejsca gdzie stoi dom zamieszkiwany przez *Sobieskiego*, i wszystkie powaby natury gasną przy ogromie bohaterstwa imienia.

Lud kaszubski, osiadły w koło Gdańska, jest tak czysto polski, jak lud na Mazowszu lub Kujawach; narzecz jego tylko miękkością wymawiania i przechowaniem kilku starożytnych wyrazów różni się od naszej zwykłej mowy. Lud ten w małej liczbie i w odosobnieniu rzucony jest między obce plemie, niby wysępka na ocean; to też wygląda jakby zahukany, i główną cechą, która na pierwsze spojrzenie w nim uderza, jest niezmierna *potulność*; ale tylko na pierwsze spojrzenie. Kto się wpatrzy głębiej, dostrzeże iż ów lud jest jak Bałtyk: im dłużej łagodny, tém gwałtowniejszy w burzach. Przypadek uczynił nas kilkakrotnie mimowolnymi świadkami zwad gminnych, i wtedy mogliśmy widzieć jakim posępny ogniem umieją się roznamietniać owe blade-niebieskie oczy.

Lud kaszubski jest w ogóle bardzo urodziwy; w domu przez nas zamieszkanym usługiwało dziewczętko wiejskie, sliczne z lica, i które cały dzień skrzętnie pracując, cały dzień śpiewała. Zapragnęłam te piosenki bliżej posłyszeć i spisać; dziewczeczka, niewymownie zdumiona, poszła opowiedzieć się gospodyni, ta swoim sąsiadkom i znajomym, i cała kaszubska ludność *Sobót* nie mogła się wydziwić, co to za podróżni tacy ciekawi i dlaczego ciekawi prostej, niewiedzącej kąd przybył piosenki?

Godzina wieczorna była wyznaczoną na poetyczne posiedzenie; jak dowiedzieliśmy się później, wszyscy owi sąsiedzi i znajomi zbiegli się przed nasze okna. Tymczasem do komnaty wchodzi nadobna dziewczeczka, *Maryanna Kąkolówna*. Długo ploniła się i wahała, lecz gdysmy jęj oświadczyli że piosenki które nam zanuci zostaną *wydrukowane*, padła nam do nóg z wykrzykiem wdzięczności i zaczęła wypiewywać tak długo, tak wytrwale, że myśmy się prędzej strudzili spisywaniem, niżeli ona śpiewem.

Jedną z tych piosenek przytaczam, jako próbkę kaszubskiego narzecz:

W trąby, bąble uderzono,
Na wojenkę nakazano.

Starsza siostra się wybrała,
Bratu konia posiłdła.

Ta wystrzyna⁽¹⁾ miecz podala,
A najmłodsza zaplakala.

„Ostań z Bodźem siostró moja,
Za trzy lata będę doma.“

Nie waralo⁽²⁾ rok, półtora,
Zwojownicy już są doma.

Młodsza siostra się wybrała,
Zwojowników przywitala.

„Oj witajcie zwojownicy,
Już ja widzę że nie wszyscy!“

Gdzieście dzieli brata mego,
Brata mego rodzonego?“

„Twój brat leży tam w padolu,
Tam w padolu, w równym polu.“

Konik chodzi kole niego,
Czesze nóżką pana swego.“

Żal konia.

„Wstańże, wstańże, panie młody!
Za cię bywał owies, gody.
Teraz nie mam garści słomy,
Objedzą mię krucy, wrony!“...

Głos *Maryanny* był świeży i przejrzysty, ale kto czyta same wyrazy, ten ma tylko połowę pojęcia o wdzięku jęj piosenek. Jaka szkoda że nie było tam naszego szanownego *Oskara Kolberga*, do pochwyceń owych melodyj szeroko-płynnych i mocno skandowanych, jakby ruchem bałwanów i wiosel!

Poezya ludowa umiliła nam parę wieczorów; inne spędziliśmy na pomoście nadmorskim, gdzie nieraz do dziesiątej i jedenastej w nocy goście siedzieli zgromadzeniem tłumnym, ale zatopionem w milczeniu. Nikt nie miał dość oczów ani dość uwagi do ogarnięcia podobnego obrazu. Morze, odbijając gwiazdy, wyglądało jak płaszcz szafirowy nakrapiany złotem; oprócz tych światełek białych, migotały dwa światła czerwone, dwie latarnie morskie, jedna na krańcu grobli strzegącej portu gdańskiego, druga na półwyspie *Heli*, który daleko wybiega ku północy, a potem zwraca się poniżej wązkiem, płaszczystym przylądkiem, zamykającym ogromną zatokę pucką, w której niegdyś flota polska stała. Na owym długim przylądku *Władysław IV* i *Jan Kazmirz* zbudowali dwie warownie, *Władysławów* i *Kazmirzów*; dziś z obu ledwie nikły ślad pozostał.

W dzień widok z pomostu był równie ożywiony przez natłok okrętów płynących do Gdańska, które nieustannie tędy przeciągały, jakby białe obłoki na przewróconym widnokregu. W ciągu trzech tygodni spędzonych w *Sobotach*, zauważyliśmy ledwie parę dni takich, w których morze miało zwierciadlaną gładkość; dni te, najstosowniejsze do przejażdżek łodzią, najmniej były dla oka zajmujące. Najczęściej panowała na rozkołysanych nurtach różnokształtna ale niezbyt niebezpieczna fantazyja. Przez kilka dni pojawiło się nieznanne mi jeszcze w takich rozmiarach zjawisko. Wichry zagnały ku tej stronie Bałtyku pływającą łąkę *morszczyznów*, roślin wiotkich jak splecione nici, ślizkich jak szkło, a tak hebanowej barwy, że cała woda od nich poczerniała. Niewymowną żalobą tchnęły owe fale kirowe, u góry tylko nastrępiłone kitami białymi; widok smutny był nawet dla patrzących z brzegu, a cóż dopiero dla stojących w morzu i mocujących się z tą czarnością; za każdym nadpływem bałwanu, zdawało się że ich obcisną ruchome mury z żelaza.

Wśród tak rozmaitych zajęć i rozrywek, największym źródłem przyjemności dla nas było gronko rodaków goszczących w *Sobotach*. Znajdowały się tu rodziny z *Pomorza*, z *Kujaw*, z *Poznańskiego* i z kilku dalszych stron kraju; wiele tam umysłów celowało wysokiem ukształceniem, a między temi wojak-kapłan, oraz pisarz, autor *Katalogu biskupów*. Orszak panieński rzadkim dobozem wdzięków wyglądał jak orszak *Sylfid*. Między wszystkimi panowała jedność, taka serdeczna jedność, że oby wszędzie podobną spotykać! Cóż to było zabaw, niespodzianek, przejażdżek wspólnie odbywanych po wodach i po łądziej, po wyżynach i dolinach, w burzę i w pogodę, a zawsze radośnie! Jaki uroczy ów podwieczorek, który młodzież na szczycie gór dla białychgłów wyprawiała! Innego dnia postanowiliśmy dostać się nakoniec do góry *Orłów*. Szereg powozów uniósł nas bitą drogą, zataczając się rokosznie po falistym gruncie; pędziliśmy jakby na skrzydlatych kołach; krajobrazy z szybkością snów się przesuwały; to wjeżdżamy w dolinki zaskle-

pione w swęj ciszy jako perła w konsze, to wzgórze się rozstapia i morze pokażą, ale tylko jakby na przekomarzenie się, bo już go znowu nie widać. Przebywamy *Kolébki*, wieś z kościółkiem stromo panującą Bałtykowi. Zjechawszy nad samą wodę, wyśiadamy wśród obozowiska wiotkich rybackich namiotów, i pieszo wstępujemy na górę. Ścieżka przykra i kamienista, ale tém romantyczniejsza. Na szczycie góry darniowe siedzenia i gaje tworzą niby komnatę wszystko zasłaniającą; z jednej tylko strony wycięto w zielonym murze rodzaj ogromnego okna, a ztamtąd, o Boże mój, cóż za widok! Widok godzien *orłów*, widok na nieskończoność!...

Najpamiętniejszym dla mnie był dzień 14 sierpnia. W dzień ten, pod przewodnictwem *Augustostwa Kościelskich*, dziedziców historycznego *Szarleja* nad Gopłem, a których dom był w *Sobotach* gorącym ogniskiem życia i przyjaźni, pod ich przewodnictwem urządzona została uczta staropolska, na jaką zebrał się kwiat obecnych ziomków. Niech żałuje kto do tej uczty nie siadł: tęczowe stroje i morskie przysmaki, napisy z kwiatów i huczne toasty, poezya i muzyka, przyroda i ludzie, wszystko się przyłożyło, aby ten dzień prawdziwem świętem uczynić.

Ale co mile, szybko mija. Jeszcześmy się nie spotręgli, już nadszedł dzień wyjazdu, żalony dzień pożegnań. Grono ziomków, chcąc oddalić chwilę rozstania się, łaskawie postanowiło towarzyszyć nam aż do *Oliwy*, i ogromną kawalkatą wyruszyliśmy po gdańskim gościńcu, z kąd następnie skręciliśmy w drożynę zagęszczoną rzędami białych willi i ogrodów, stajemy przed progiem oliwskiego kościoła.

Oliwa.

Kościół jest zajmujący; górne okna, wycięte w kształcie gwiazd o spiczastych promieniach, ze strzelistą wesołością oświecają przybytek. Nad chórem i nad wielkim ołtarzem widać dwie wyrzeźbione falangi aniołów i świętych: kunsztowna to praca jednego z tutejszych mnichów.

Najciekawszymi są niezmiernie starożytne wizerunki założycieli i dobrodziejów *Oliwy*, umieszczone na dwóch bocznych ścianach prezbiterium; wszystkie te postacie, w zielonych lub czerwonych szubach, w mitrach i koronach, tworzą prawdziwy areopag powagi. Jaśnieje *Sobiesław*, pićwszy z książąt pomorskich który chrzest przyjął i tu cystersów sprowadził; przy nim *Mestwin I* i *II*, *Sambor*, *Świętopętk*; nad nimi *Stefan Batory*; poniżej drzewo oliwne, z napisem: *Quasi Oliwa*.

Na ścianie dobrodziejów występują: *Przemysław*, *Wacław*, *Lokietek*, *Kazmirz Jagiellończyk*, *Waldemar* i *Winryk*, nad nimi *Zygmunt III*; pod wizerunkami odmalowano napad pogan na *Oliwę* w początkach trzynastego wieku.

W klasztorze widzieliśmy pamiątkową komnatę; zachowany tam jest stół, na którym podpisano smutnej pamięci traktat; na ścianie nędzne malowidło przedstawia dwie ściskające się ręce.

Szybko opuściliśmy komnatę, aby przejść do innej, gdzie są pełne zajęcia portrety wszystkich opatów oliwskich. Dziś już niema tu cystersów o białych, powłóczystych szatach, którym było tak pięknie przechadzać się po ogrodzie tutejszym, dziele, a raczej arcydziele, ich troskliwości i sztuki. Któż nie słyszał o dziwach oliwskiego ogrodu?

Dzieli się on na trzy części, które możnaby nazwać *francuzką*, *angielską* i *dziką*. Ta ostatnia, jest to las samorodny, zostawiony w puszczonej pierwotności; tylko drożyny w niej wycięto. Miło widzieć że ci co umieli tak sztucznie nakłaniać naturę do kształtów swęj wyobraźni, umieli także cenić i szanować jęj swobodną bujność.

W środkowej części ogrodu, labirynt ścieżek plecie się w około zachwycających pagórków. Prąd wody zużytkowano we wszelkich postaciach: tu bije fontanną podobną do kryształowej lilii, tam rzuca się wodospadem, w koło którego stoją omszone ławy z odłamów skały, gdzieindziej świeci stawem obrębnym w jakieś okrągłe, pomarszczone liście, które trzęsą się i boją, jakby pod nimi kryły się bogińki źródeł. Niedaleko są dwie grotty, żartobliwy pomysł mnichów, postawione naprzeciw siebie z taką grą dźwięku, że co najciszej szepniesz w jedną, głośno słychać w drugiej.

Najpiękniejszą część ogrodu otacza opactwo, gmach którego ganki opięte są bluszczem aż do zaciemnienia. Przed główną ścianą wonieje czworoboczny wirydarz, gdzie ogrodnictwo doszło do zjawisk jakich nigdzie nie napotkałam. Po dwóch stronach, sklepienia z liści opierają się na pniach równych i utoczonych jak kolumny greckiego frontonu; środkiem biegną parowy pełne żywej wody, nad którą wijące rośliny przerzucają się w nadpowietrznych skokach.

(1) *Wystrzyna*, średnia siostra.

(2) *Nie waralo*, nie minęło.

Kwiaty, gęste jakby wzory jednej tkaniny, rosą w kule, w piramidy i namioty; a co za kwiaty! Dochodzą do bajecznych rozmiarów i farb. Różne trawki, nikłe jak sieć pajęczna, kiwiają się i piętrzą pagodami z puchu; woń daje zupełny zawrót.

Z wirydarza droga skręca się na lewo, i... kto tu nie wyda wykrzyku zdumienia, tego nie już zdziwić nie zdoła.

Wystawcie sobie dwa mury z żyjącego malakitu, gładkie, prostopadłe, na czterdziści dwie stóp wysokości, to sławne oliwskie szpalery.

Na końcu tej cudownej alei, płynie morze.

Jakto? wszak morze o pół mili odległe od Oliwy?

Otóż w tém leży największa sztuka, i zakonnicy dowiedli tu głębokiej znajomości optycznych złudzeń, bo cała owa bliskość morza jest złudzeniem.

Za szpalerami przeprowadzono kanał po brzegi pełen wody; za kanałem wybudowano wał. Pochyłość półmilionowej równiny spadającej ku morzu sprawia że wał całą równinę zasłania, i Bałtyk dla oka łączy się bezpośrednio z kanałem, przedzielony tylko taśmą wału, który wygląda jak wążuchna kładka.

Po dwóch stronach głównego szpalery ciągną się dwa inne, sklepienie, bo o wiele niższe, krużganki jedyne do rozmyślań i modlitwy.

Niejedna godzina upłynęła, zanim zdołaliśmy się ztąd wyrwać; lecz nie tu jeszcze był koniec zachwyceń. Zostawała do obejrzenia góra królująca nad Oliwą, dziś zwana górą Karolową, ciekawa dla badacza i poety. Przez pierwotnych mieszkańców téj ziemi czczone były na owęj górze trzy bóstwa: *Perun* z gromami, kluczymi niebios w prawicy, *Potrymbos* czyli *Potrzebóg*, z zielonym owsem na głowie i *Piekiello*, posępny kochanek Nii pasającej pawie.

Niegdyś góra musiała tchnąć świętą grozą; dziś jest przemieniona w pięciwy ogród, o kwiecistych kłombach i zielonych ławeczkach. Wsiadłszy przed okratowaną bramą, wstępujesz po drodze tak łagodnej i szerokiej, że można czterokonnym powozem na sam wierzchołek dojechać. Droga okręca górę spiralnie, a za każdym widnokrąg nowym pierścieniem się rozszerza. Na szczycie stoi piętrowa altana; ztamtąd nietylko że oko ogarnia cały Gdańsk, zatokę pucką i niezmiernie morza dalekości, ale wi-

dok jest podwójnie szerszy niż z innych stanowisk; bo gdy dla patrzących z nad morza dyadem wzgórz zawsze zagradza krajobraz, tu wzrok może się przelewać na drugą stronę dyademu, na szereg dolin, z których najroskoszniejszą jest *Dolina radości*. Wiele powiem, gdy uznam że usprawiedliwia swoje nazwę, a przecież powiem nie zawiele. Dolina ta, ze swemi barankami i wioskami białemi, ze swem ziorkiem błękitnym, ze swem zaklęciem roztruchanowem, godna jest aby w niej mieszkali sami

prozą, uśmiechami i łzami, wśród powiewania chust białych, pod prawdziwym dęszcem z róż, bratków i niezapominajek, odjechaliśmy, unosząc wspomnienie, które jak balsam kojący pozostało na duszy.

Tak wieńiec wrażeń zebranych w tej podróży zakończył się tém, czém wszystko powinno się kończyć: gałązką oliwy, wrazeniem spokoju.

K O N I E C.

KOŚCIÓŁ W STAROMIEŚCIU.

Jest to wieś rządowa w powiecie olkuskim, po drugiej stronie rzeki Białej, naprzeciwko miasta Lelowa położona, zwana niegdyś Starym Lelowem. Według podania miejscowego, kościół którego wizerunek podajemy, miał być z pogańskiej świątyni Lelum Polelum przerobiony; jednakże ani postać tej budowli, ani materiały z którego jest wzniesiona domniemania tego nie potwierdzają. W każdym razie kościół jest starożytny i najpóźniej z piętnastego pochodzi stulecia, lubo fundacja samej parafii w roku 1080 już nastąpiła.

Jest to niewielka budowla w stylu gotyckim, z kamienia wystawiona i włoską dachówką pokryta; w oknach wąskich i spiczasto zakończonych, widać jeszcze ślady zwykłych ówczesnym gmachom filigranów. Presbiterium zakończone jest trzema ścianami, a węgly i ściany szkarpami wsparte. Wchodzi się do niego przez kruchtę później przystawioną. Drzwi z kruchty do kościoła prowadzące, przyozdobione są starożytnymi kamiennymi odrzwiami, nad którymi znajduje się mała figurka Boga Rodzicy, wielce dawnym dłem z kamienia wykowana.

Nad temi drzwiami miał się znajdować kamień z dawniej świątyni pogańskiej pochodzący i wyobrażenie bożyszcza noszący na sobie; ale śladu jego dopytać się już teraz nie można.

Kościół ten nosi tytuł Wniebowzięcia N. Panny i jest macierzystym kościołem względem lelowskiego. Kiedy w r. 1793 przez piorun uszkodzony został, sklepienie na nawie upadło, które potem tarciami zastąpiono. W części kapłańskiej sklepienie dochoowało się w całości i odznacza się lunetami osobliwego kształtu. Przy kościele jest dzwonnica drewniana, a w niej jeden dzwon starożytny.



KOŚCIÓŁ W STAROMIEŚCIU. (Rysował z natury Lewicki.)

sprawiedliwi. Czemu jednak do najpiękniejszej harmonii zawsze się musi fałszywy ton domieszać? I tu ów prąd wodny co ożywia oliwskie ogrody, spływający w dolinę, zmuszony jest poruszać, co? fryszerki i młyny prochowe. Gdybyż przynajmniej młyny na ziarno, gdyby fryszerki wyrabiające same plugi; ale stawiąc przybytki śmierci w miejscu w którym nikomu nie chciałoby się umrzeć! Prawda że nieraz gołębie wiją gniazdo w helmie.

Jakby dla powiększenia antytezy, nad *Doliną radości*, na stronie wschodniej nieba, gromadziły się chmury pękające niekiedy błyskawicą i roztrzęsione dalekim grzotem.

W drugiej połowie nieba, słońce zachodziło nad morzem, jednym z owych zachodów, jakie na płótnie uważane są za nieprawdopodobne. Była chwila w której wszystko oblało się łuną jednostajnie różową, doliny zapłonęły jakby koszyki malin, Gdańsk wydawał się z różowego alabastru spiętrzony, żagle w jego porcie wiejące kwitły jakby liście jakiejś olbrzymiej róży, cały Bałtyk stał się jednym rubinem, i nasze nawet postacie i lica oblekły się różowością. Krótko trwała jutrzenna światłość, i używając wyrazów Byrona.

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia“... Pół kuli słońca uwięzła w morzu, tarcza jego wydała się potwornie wielką, i cała różowość przeszła w najczystszy szkarłat. Bałtyk zakipiał bałwanami z krwi, wzgórz opłynęły lawą purpurową, Gdańsk stanął w płomieniach i maszty jego rozrosły się w las koralu.

Znów „zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.“ Słońce spadło w morze cicho, niezgłębienie, jak trumna, którą z okrętu zsuwają do fali, Bałtyk ugładził się gładkością kruszcowej tablicy, wzgórz porosły fijołkami, doliny poczerniały, Gdańsk usunął się w dalekość jak błędny rysunek, i okręty jego strzeliły krata ciemnych iglic.

To wszystko widziawszy, zrozumiałam jak dawne pokolenia mogły wierzyć, że na tej górze tronuują wszechpotężną trójcą bóstwa niebios, ziemi i piekieł.

Już więc słońce zaszło, już nieodwołalnie nadciągnęła chwila rozstania. Pożegnawszy się wiérsem i

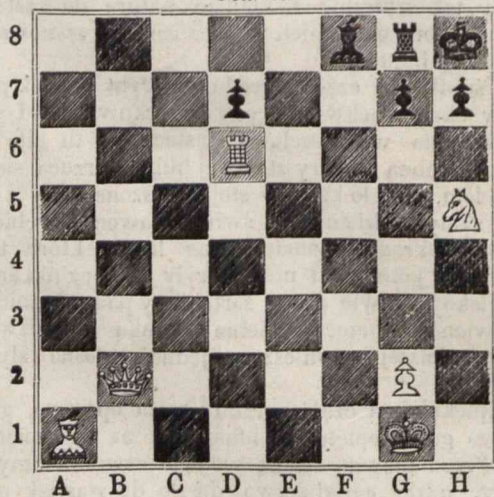
SZACHY.

ZADANIE XC.

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają matę za drugim posunięciem.

Czarne.

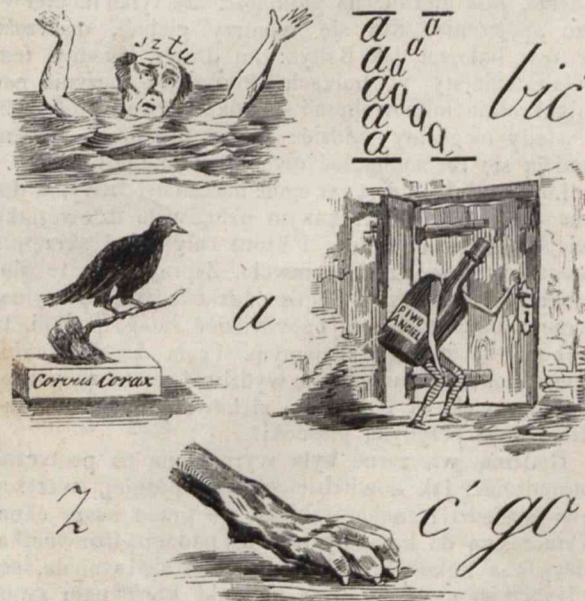


Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 115.

Łakomy człowiek strzeże pieniędzy jak oka w głowie.

REBUS.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 89.

Białe.

Czarne.

- 1) F2 — F3 1) E6 — D5 biorą.
- 2) F3 — F4 † 2) D5 — E6.
- 3) F4 — F5 † i mat.